

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

GWOZDZ I PISKI

Gdyby nie gwóźdź - pewnie bym usnął Gwoździe? To stanowczo za dużo powiedziane. Za twardo, za ostro, nazbyt bezwzględnie i jednoznacznie. Gwoździe to chłód, gwóźdź to sina obojętność stali i resztki konserwującego smaru na płaskim łbie gwóźdźnia. Powiedzieć, napisać: gwóźdź, to przywołać obraz totalnej domowej ruiny remontowej, a nie obraz subtelnych mgieł teatralnej iluzji. Nie gwóźdź zatem. Ale co w takim razie? Może - mały gwóźdź? Gwoździk? Gwoździczek? Gwoździczunio? Cimcirymcigwoździk? Gwoździbzdecik?... Bogusław Schaeffer, autor wyreżyserowanych przez Grzegorza Matysika „Scen miłosnych”, wielbi wszelakiej masy gierki intelektualne, zwłaszcza tzw. mopowanie stylistyczno-semantyczne, może więc „akrobatyczne” ucho jego zadawoli mały gwóźdźpikus? Co? Przecież nie będę kombinował w nieskończoność!

Niechaj będzie gwóźdźpikus. Małeńki, że aż strach. Okrągła, lśniąca główka jego sterczała... bo ja wiem, może jakieś pięć milimetrów nad sceną. Zawiódł młotek budowniczego, wystawał więc gwóźdźpikus cudnie i dzielnie, wokół zaś, po zasłanej czarnym płótnem scenie, pełną godzinę płały gołe, śniade i świeże niczym buzia małego Winnetou, stópki Gabrieli Frycz. Płały, zbliżały się i oddalały, wznosiły się i opadały, opadały i nieruchomiały, by po chwili znowu zaplaść wte i wewte, tak lub owak, ale zawsze subtelnie. Słowem, na dole coś jakby godowy taniec realnego gwóźdźpikusa lśniącego z realną stópką o buzi małego Winnetou. A co tam, w gorze, na wysokosciach?

Tam inny taniec się odbywał. Jak zwykle u Schaeffera - płaśnięcie jakości bezcielesnych się tam odbywało. Jak zwykle, bo dzieła dramaturga tego za wsze, jako się rzekło, są grą intelektualną. Niezmiennie o zonglerkę teatralnymi i pisarskimi konwencjami tu chodzi, o nie oczekiwane łamanie tychże, o nagłe, istic zajęcie kicania z jednej formy w drugą, trzecią, czwartą, a nawet i od razu w siedemnastą, o prestidigitatorskie mieszanie wysokiego z niskim, powagi ze śmiechem albo głupoty z mądrością. U tego intelektualnego facycjonisty teatralnego zawsze jest też i tak, że ostentacyjnie wystawiana na pokaz aktorska prywatność w ironiczny nawias bierze iluzję granej przez aktora postaci. Nie ustannie, zartowne łamanie stylistyczno-semantyczne. Mieszanka pastiszu z parodią, grotechą, kabaretem i towarzyskim, że tak powiem, „wicmenstwem”... Szkoda dalej gadac, szkoda wymieniać.

Generalnie rzecz ujmując, sztuki te, a właściwie sztuczki kuglarskie, rebusy matematycznego clowna, to pokaz ciągłej ucieczki - nic w nich pewnego. I niezmiennie są one niczym partia szachów, co się 500, może nawet i 1000 metrów nad ziemią rozgrywa. A tam zimno, nieludzko zimno. Lodowato jak na planecie

chirurgicznych instrumentów. Życia i tlenu brak tam. Scislej - brak życia, bo brak tlenu. . . . Choć nie do końca Pamiętam przecież 100 lat temu przez Jana Peszka grany „Scenariusz dla nie istniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego”. Pamiętam, do brze pamiętam dwa, trzy piski tej przez Peszka granej myszy ludzkiej, realne piski realnego ciała. . . . A może nie? Może nie pamiętam, tylko wymyślam, bo to dawno było i nieprawda?

Obojętne. Pewne natomiast, że dawne pisanie Schaeffera miało coś z nieobliczalnych skoków Konia, ukosnych szusow Laufra i monarchicznego wszędobylstwa Królowej. Było intrygujące. A „Sceny miłosne”? Schaeffer jest w nich wątpliwy, nie wiem felietonista, któremu już nie wychodzą dawne numery. W rozbebeszonym mieszkaniu - fatalność monstrualnego gwóźdźnia. Bieda samotnej Wieży na pustej szachownicy. Kustykanie wedle kątów prostych. Mozol kwadratowości. Ot, przasny przekładaniec różnych, z literatury, z życia bądź teatralnej tradycji wziętych konwencji miłosnych. Taki sobie, dreptający pochodzik miłosnych masek, przewidywalny jak zmiany kolorów w kiepskim dowcipie o spadającej ze schodów za konnicę. Czarne, białe, czarne, białe, czarne, białe - bęc... Ale fakt, że mocarny niegdyś akrobata intelektualny daje dziś pokaz istic przedszkolny - to dopiero poł nieszczęścia. Całe jest, gdy się pojmie, co aktorzy uczynili z tą przedszkolnością.

Otoż - nic. Gabriela Frycz i Grzegorz Matysik uczynili to, co aktor czyni zawsze, gdy nie wie, co uczynić. Śmiało wstąpili w ocalające „granie z dystansem”, w puszczające oczko do widza aktorstwo a la Duaniec. Państwo wicie i rozumiecie, że my ponad to som. Excusez moi, ale państwo nie wie i nie rozumie, bo ta wasza „fortemka” aktorska nie dość, że parą w guzdek jest, to na dokładkę nikt nie wie, gdzie guzdek. I tyle. Godzina o niczym. Ni śmieszna, ni smętna. Ani jasna, ani ciemna. Nie mądra i nie głupia. Ni to, ni sto. Godzina zadna. Może więc nie było jej?

Może więc jednak usnąłem? Może, gdzieś na boku papierowych „Scen miłosnych”, wysniłem wszystko - i gwóźdźpikusa, i stópkę, i płaśnięcie, i to moje wielkie oczekiwanie na moment miłosnego zwarciu skóry z metalem? Czyż nie jest tak, że grając Schaeffera, większość aktorów traci stopy, i w sam tylko mózg się zmieniając - tego samego żąda ode mnie? Może więc zasnąłem, by przynajmniej tu, w sobie, mieć realną szansę na usłyszenie realnego pisku ludzkiego bólu, bez którego to pisku teatr jest przecież niemożliwy?

PAWEŁ GŁOWACKI
Teatr Ludowy. Scena Pod Ratuszem. Bogusław Schaeffer „Sceny miłosne”. Reżyseria Grzegorz Matysik. Muzyka Bogusław Schaeffer.